

W cztery miesiące po ślubie powołano Homera do armii. Czuł wstręt do tej instytucji, ale nie starał się o odroczenie. Było to mu nawet na rękę. Hanka nie mogła zajść w ciążę, więc szukała dziury w całym. Coraz częściej odwiedzała sąsiednią wieś; zaczęła chodzić do cerkwi. Pop był chłopem na schwał, do niego biegała.

Homer poczuł ulgę, gdy pociąg ruszył razem z nim na północ. Na stacji docelowej zgadał się z Ceniem Brzeźniakiem, poborowym jak on. Libację zaczęli w dworcowym bufecie. Cenio pochodził z pobliskiej wsi, więc kiedy butelka zaświeciła dnem, wyprosił następną u bufetowej. Po godzinie przy stoliku siedziały już dziewczyny. Było coraz gwarniej i weselej. Ale w każdym raju pojawia się gnida. Ktoś tam ubliżył Ceniowi, komuś tam Cenio dał w pysk. Zaczęła się rozróżba. Bufetowa ukryła krajana na zapleczu, więc władza zasalutowała do Homera. Podał wezwanie do wojska. Machnęli ręką i odeszli. Podziękował, ale niepotrzebnie, po dziesięciu minutach zjawili się kanarki, wrzucili do suki i zawieźli do garnizonowego aresztu.

Wepchnięto Homera do celi, zupełnie pustej, bez pryczy i taboretu. Prócz niego był jeszcze stary kafłowy piec. I właśnie z nim zaczął nierówną walkę. Zmagał się niczym Apacz z szeryfem. Po godzinie piec przestał istnieć. Patrząc na kupę gruzu, poczuł ulgę. Ułożył się obok i zapadł w sen. Obudził go profos, kopiąc niezbyt boleśnie w bok. Otworzył oczy.

— Na wariata nie wyglądasz — powiedział z uśmiechem — więc niepotrzebnie się wysilałeś.

— Nosiło mnie. Przepraszam.

— Tylko bez etykiety, tu nie Wersal. Masz szczęście, że piec był do rozbiórki, inaczej byś beknął. Wychodź, przyszedł po ciebie szef kompanii. W szachy grasz? — Skinął głową. — To masz fory. — I wskazał drzwi do łazienki.

Homer doprowadził się do względnego porządku i odnalazł dyżurkę. Szef siedział przy stoliku, pochylony nad szachownicą. Kiedy wszedł, podnosił hetmana, ale dostrzegając Homera, odłożył figurę i na przemian, lewym i prawym okiem zaczął mu się przyglądać, uporczywie. Oczy miał duże, wyłupiaste, błękitne, z białym nalotem.

— Prawie szewski mat — mruknął Homer.

— Gagatek — szepnął z jadem w głosie. — Z szefa drwi. Ten szewc bokiem ci wyjdzie, jakem Graf.

I rzeczywiście, nie zapomniał o przyrzeczeniu. Po capstrzyku wszedł do sali i kiwnął palcem na Homera. Następnie zaprowadził do latryny i wskazał podłogę wyłożoną czarno-białymi kafelkami.

— Jesteś wielki szachista — rzekł twardo — więc zaczynaj partię. Kostka ma lśnić jak łysina świętego Ambrożego.

Przez tydzień nie dał chwili wytchnienia. Nie zżymało to Homera, przeciwnie — bawiło. Kiedy kiwał paluszkami, stukał obcasami i wykrzykiwał: „Rozkaz, panie sierżancie! Bóg jest wielki”. Rzucał na niego podejrzliwe spojrzenie i oddalał się bez słowa.

Ale któregoś dnia, po którejś tam niedzieli, wezwał Homera do swojego magazynku.

— Siadaj. — Wskazał krzesło. — Znasz się na chwytach szachowych?

— Gram nieźle — odrzekł Homer.

— Musisz mnie wtajemniczyć w te arkana. — Popatrzył w oczy i zaczął bębnić palcami. — Bo widzisz, ten kretyn, profos, ciągle jest lepszy, a gramy o forszę. Nadto chcę zostać wodzem, a generał bez szachów ani rusz.

— Ano nie. — Kiwnął głową Homer i nagle coś go tknęło, przyjrzał się uważniej. Ich oczy się spotkały.

Zadrzał, a sierżant się uśmiechnął. Nie było dwóch zdań, to człowiek pokroju ojca. Ale nie było rady, musiał zostać trenerem. Dzieciństwo spędził w Rosji sowieckiej w tamtejszym domu dziecka, w którym zetknął się z królewską grą i teorią szachową, a był to przedmiot obowiązkowy.

Homer rozłożył figury i zaczął tłumaczyć, czym różni się debiut otwarty od zamkniętego i jaki styl gry należy preferować, mając na uwadze charakter przeciwnika. Sierżant słuchał uważnie, wpatrywał się w Homera, w szachownicę, cmokał z podziwu i coś tam mruczał pod nosem.

Z teorią było jako tako, ale w grze praktycznej, nadal szedł na żywioł, na oślep. Jednak któregoś dnia, w środku gry, kiedy stanął przed nieuchronnym matem w trzech posunięciach, podniósł głowę znad szachownicy i wyszeptał:

— Zaskoczyłem, już wiem o co chodzi. Nie dać się zabić.

— No wreszcie — mruknął Homer.

— Trudno być generałem — szepnął. — Ale muszę, bo po to wstąpiłem do armii. Profos jest nerwowy, debiut zamknięty będzie odpowiednią bronią na niego.

— Trafił sierżant w dziesiątkę.

PRZEGRANA SZEFA

Następnego dnia szef unikał spojrzeń Homera. Domyślił się, że przeżywa klęskę, więc i on poczuł niesmak — był przecież trenerem.

Przed wymarszem na zajęcia z taktyki porucznik został wezwany do sztabu, więc zastąpił go szef. Na poligon przyjechał rowerem, odczytał konspekt, przekazał pluton dowódcy drużyny i skinął na Homera.

— Obiecywałem kiedyś, że zrobię z ciebie żołnierza — wycedził — i jakem Graf, dokonam tego. Nie wtajemniczyłeś w szachowe tajniki, to ja cię nauczę moresu. Jak Kuba Bogu, tak *vice versa*.

I zaczęło się żołdactwo. Homer zacisnął zęby. Setki razy wstawał i padał, czołgał się w masce i bez, przez kałuże, błota i trzciny. Kiedy robiło się ciemno w oczach, na moment zamierał, mrok mijał, zrywał się i ruszał przed siebie.

— To dopiero początek — rzucił zimno, gdy pluton, w szyku marszowym, zbliżył się do nich. — Dołączyć do szeregu.

Wieczorem ponownie zaczął szorowanie latryn. I to trzykrotnie. A po tym do trzeciej w nocy trocinował korytarz wyłożony żłobkowaną ceramiką. „Chciałeś wojska, więc je masz — powtarzał w duchu. — Tam Hanka z popem, tu sierżant z szachami”.

Za dnia było w kratkę. Kiedy dowódca kompanii był u siebie, wszystko grało, gdy zniknął, szef rzucał się na Homera jak sęp. Dowódca drużyny milczał, drżały mu tylko szczęki. Niewiele mógł. Cenio Brzeźniak, aby dodać otuchy, przyniósł butelkę wódki. Wypili we czwórkę.

— Jeśli chcesz, spuszcza mu lanie na mieście.

— Nie trzeba, do przysięgi niedaleko.

— Grałeś z nim w szachy. O co chodzi?

— Nie grałem, tylko uczyłem. Uznał, że źle to robię, nie zdradzam mu chwytów.

— Przecież takich nie ma. Też umiem grać.

— To wytłumacz mu to.

— Złóż raport.

— Wytrzymam. Po przysiędze rozrzucą po pułku i rozejdzie się po kościach.

Dwa dni potem, po capstrzyku, kiedy Homer szorował latrynę, dyżurny podoficer zawołał go do telefonu.

— Szef prosi. — I wskazał na leżącą na stoliku słuchawkę.

— Melduję się na rozkaz! — krzyknął.

— Wygrałem! — Usłyszał radosny głos. — Ograłem sukinsyna, trzy razy pod rząd, cztery, pięć razy. Jutro też rzucę go na kolana. Zrobiłeś za mnie stratega. Rehabilituję. Daj dyżurnego.

— Zostawiaj wszystko i idź spać — rzucił dyżurny i odłożył słuchawkę. — Koszmary go męczą czy inna cholera? — Popatrzył pytająco.

Homer wzruszył ramionami.

Na drugi dzień po obiedzie wezwał Homera do siebie. Był cały w skowronkach. Uśmiechając się od ucha do ucha, uściśnął dłoń i wskazał krzesło. Na biurku stały już szklanki.

— Dzisiaj nie gramy — rzekł i zadzwonił szkłem. — Świętujemy.

Po toaście zrobił poważną minę, przekręcił zamek w drzwiach i otworzył szafę. Odwrócony plecami, zmienił marynarkę, odwrócił się i zasalutował. Przed Homerem stał generał w pełnej gali, z koalicyjką i baretkami. W oczach drgał błędny ogień. Przyjął pozę któregoś z wielkich żołdaków.

— Niczym Napoleon — powiedział Homer.

— Nie ubliżając, Napoleon nie był mojej postury. Ja mam wzrost w sam raz. Po przysiędze wezmę cię do siebie, do plutonu dywersyjnego, a potem, gdy zostanę generałem, zostaniesz moim adiutantem. Nikomu ani słowa. Idź już, a ja trochę pomyślę o przyszłości.

Wieczorem Homer usiadł w ciemnym kącie palarni i zaczął się modlić. Prosił Jahwe, aby oszczędził mu tej próby. I miłosierny Bóg wysłuchał.